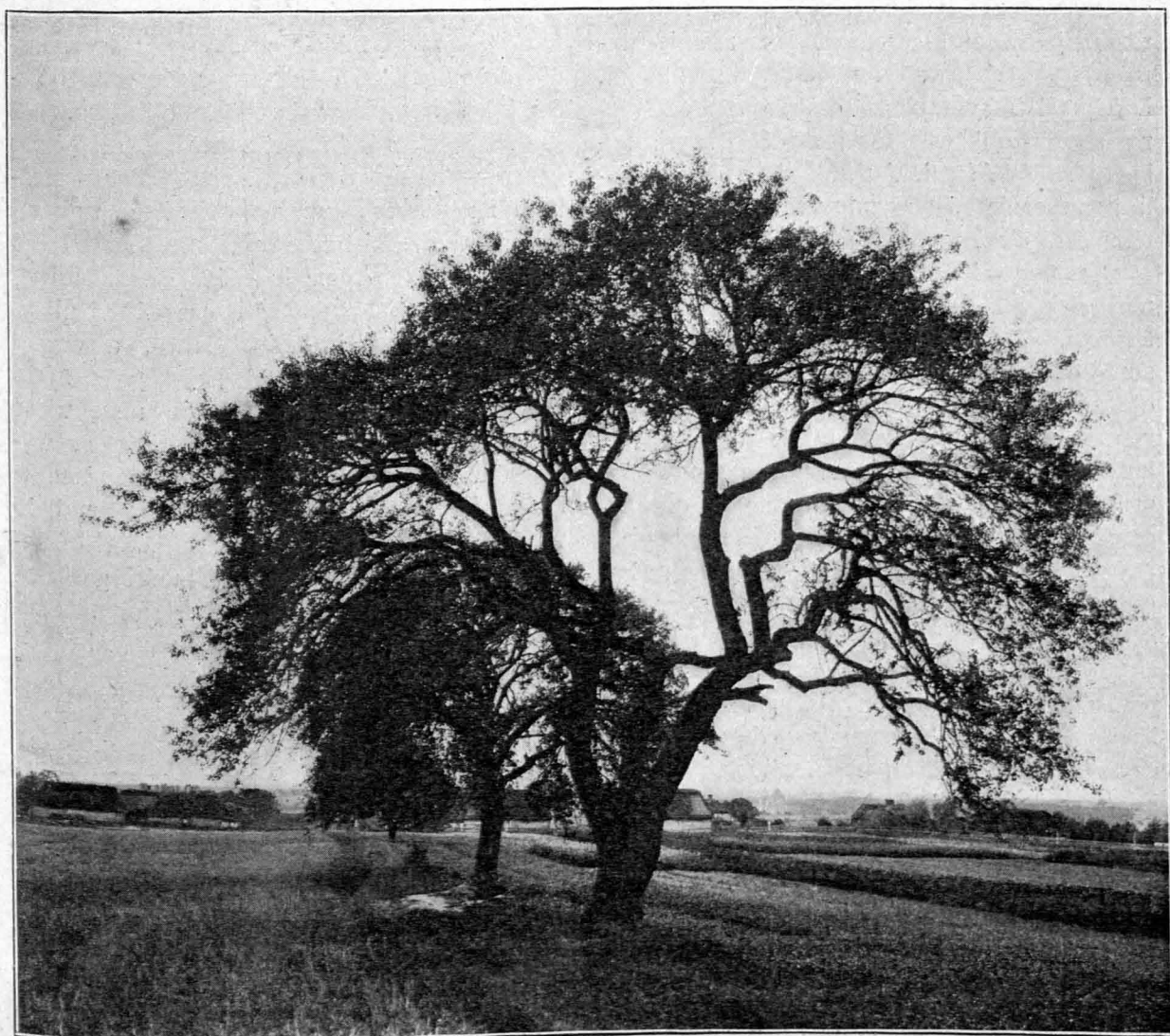




Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



5. GRUSZA POLNA.

Fot. M. Wisznicki.

# POCHODZENIE i ZASTOSOWANIE ORNAMENTU GEOMETRYCZNEGO

## W CERAMICE PRZEDHISTORYCZNEJ.

1)

Ze spostrzeżeń dokonanych przez porównanie z życia jaskiniowca dyluwialnego z życiem dzisiejszych Eskimosów, Buszmenów, Negrów australskich i mieszkańców Ziemi Ognistej uzyskała nauka brakujące jej ogniwa w poznaniu stopniowego rozwoju kulturalnego najdawniejszych mieszkańców Europy, która dziś kroczy na czele cywilizacyjnego pochodzenia ludów całego globu. Metoda zainicjowana przez Johna Lubbocka, który, chcąc zrozumieć życie przedhistorycznych plemion, zwrócił się o pomoc do badań etnologicznych, okazała się w praktycznym zastosowaniu nader skuteczna i w wielu nawet razach jedynym kluczem do rozwiązania licznych spornych kwestyi w nauce antropologii. Dzięki tylko analogiom, odkrytym przez licznych podróżników w krajach dzisiejszych dzikich plemion Afryki, Australii i Azji, uwierzyli sceptycznie nastrojeni uczeni nie tylko w możliwość, ale i w wiarygodność pochodzenia z rąk paleolitycznego człowieka ciekawych rzeźb i rysunków, znanych ze znalezisk we Francji, Szwajcaryi, Hiszpanii i Belgii. Rysunki te, pokrywające na podobieństwo galerii obrazów ściany jaskiń mieszkalnych w departamencie Dordogne, w Perigord, la Mouthe, Tombarelles, Thayingen i w Altamira, napuszczone w konturach czerwoną ochrą lub czarną sadzą, przedstawiają zwykle rozmaite zwierzęta czworonożne oraz ryby i ptaki, żyjące naówczas w Europie. Również rzeźbione w kości i rogu podobizny jeleni, renów, koni i wołów zadziwiają swym wspaniałym oddanym realizmem, tak w ogólnym wyglądzie jak też i w szczegółach, o czym świadczą rysunki gęstem futrem krytych mamutów lub np. napozór niekształtnie skopiowane głowy tarpanów (dzikich koni), o jakich jednak z wykopanych w tych miejscach czaszek przekonano się, iż rzeczywiście odznaczały się nieproporcjonalnie wielkimi głowami, tudzież przysadkowatym tułowiem.

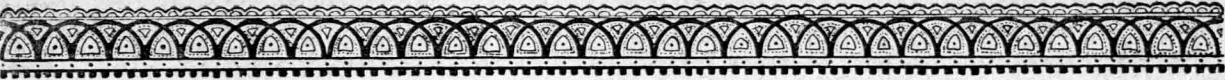
Niezrozumiałem jednak pozostawało zrazu, dlaczego wszystkie prawie bez wyjątku rysunki zwierząt wykonane były bez dolnej—

ziemi dotykającej — części nóg. Dopiero fakt istnienia podobnych rysunków zwierząt bez nóg, zaobserwowany przez Em. Holuma na skalnych rysunkach afrykańskich Buszmenów naprowadził uczonych na domysł, iż artyści-myśliwi rysowali tylko to, co zauważyć mogli u zwierząt; nogami bowiem zwierzęta te nurzały się wprost w bujnej trawie, wskutek czego kończyny ich dolne mniej wpadały człowiekowi w oczy i nie były dlatego reprodukowane w podobiznach.

Tak fakt obserwowany u dyluwialnych troglodytów znalazł objaśnienie swe w materiale i spostrzeżeniach, zebranych przez etnologów i przyczynił się w ten sposób znacznie do pogłębienia naszych wiadomości o życiu i kulturze człowieka paleolitycznego.

Niepojętem jednak zdawało się długi czas uczonym, dlaczego człowiek ten, który w rzeźbach i rysunkach swych tak wiele wykazał prawdziwego mistrzostwa, nie doszedł do poznania tak wspaniałe później rozwiniętej sztuki topienia i wypalania naczyń z gliny, bez których przytem tak niełatwo, a względnie niemożliwie nawet obejść się w życiu codziennym. Kiedy więc rozeszła się wieść o odkryciu skorup z naczyń glinianych, wydobytych przez O. Fraasa w jaskiniach w Hohlefels i Ofnet, wówczas, jak można było się spodziewać, sądzono powszechnie, iż znaleziono wreszcie dowód znajomości garncarstwa i u ludności dyluwialnej Europy. Sam jednak Fraas z wielką rezerwą wyrażał się o domniemanem ich pochodzeniu dyluwialnem i za zgodą innych uczonych odniósł czas ich pochodzenia już do początków neolitu. Przed tym bowiem okresem, tak obfitym w rozmaite nowe nabytki kulturalne, nieznanym był ludziom paleolitycznym sposób przyrządzania gliny i wypalania z niej trwałych naczyń, a do przechowywania cieczy używano rozmaitych sposobów, praktykowanych i przez dzisiejszych, na najniższym stopniu kultury stojących dzikusów. Bardzo rozpowszechnionym jest między nimi zwłaszcza użytek skórzanych sakwi, otrzymywanych ze starannie z





jakiegoś upolowanego zwierzęcia złupionej skóry, której otwory ściągają rzemieniem lub łykiem plecieniem. Również znane musiały być i do dzisiaj jeszcze np. przez naszych górali używane naczynia drewniane lub gęsto plecione z łyka, w których wodę ogrzewano w ten sposób, iż rzucano do niej drobne do czerwoności rozpalone kamyki, jakich tak wiele znaleziono w licznych jaskiniach Francji. W Ameryce pld. np. w wielu okolicach używają pierwotni jej mieszkańcy i dzisiaj jeszcze naczyń plecionych gęsto z łyka lub pewnego gatunku trawy i w podobny właśnie sposób ogrzewają w nich wodę do gotowania. W okolicach zaś nadmorskich znany musiał być paleolitycznym jaskiniowcom użytek muszli, które w pewnym stopniu zastąpić im mogły brak naczyń glinianych. Jak już bowiem wyżej nadmieniliśmy, wynalazek sztuki garncarskiej był dziełem dopiero późniejszych czasów, a jak spodziewać się można, nie okazał on się od razu doskonałym, lecz musiał w rozwoju swym przejść jakąś drogę pośrednią. Drogę taką upatruje J. Ranke w zastosowaniu gliny do oblepiania plecionych z chrustu ścian chat, zabezpieczanych w ten sposób jak to i do dzisiaj praktykuje się u nas po wsiach od deszczów i mrozów. Trafić się mogło, iż ściana taka, upleciona z prostopadle do ziemi wbijanych tyk i poziomo przez nie przetkanych gałązek, narażona była na żar blisko stojącego ogniska lub też w czasie pożaru uległa spaleni. Wtedy przedhistoryczny człowiek mógł zauważyć, iż glina, poddana działaniu ognia, nie tylko nie niszczy się, ale owszem zyskuje na wytrzymałości i twardości. Równocześnie jednak spostrzegł, iż kawałki wypalanej gliny, które odpadły od spalonych ścian chaty, nośły na sobie powabną ozdobę w postaci odbitej w nich plecionki, utkanej z gałązek w pewien naturalny, z techniki plecienia wynikły ornament. To mogło mu z czasem nasunąć na myśl zastosowanie gliny i w innych wypadkach, a mianowicie przede wszystkim do

wyrobów garncarskich, bez których tak trudno było mu się obchodzić, zwłaszcza w czasach, gdy zaczął już uprawiać rolę i hodować bydło domowe. Myśliwiec dyluwalny, polujący na zwierzynę i trudniący się połowem ryb, mógł snadnie obywać się bez wszelkich naczyń, ponieważ bardzo łatwo mógł upiec mięso, nadziewając je na rożen i wystawiając na działanie ognia. Potrzeba zaś jest matką wynalazków. Człowiek neolityczny, prowadzący osiadły już żywot, zmuszony był gromadzić wszelkiego rodzaju zapasy żywności na zimę i dlatego też bardziej odczuwał potrzebę jakichś naczyń, w którychby mógł je przechowywać. Postępował więc w tym wypadku podobnie jak i dzisiejsi nawpół dzicy Brazylijczycy lub Murzyni, którzy i teraz jak niegdyś przed wiekami ryż swój i proso przechowują w naczyniach, plecionych z mocno ściśniętych gałązek słomy lub trawy. Ponieważ zaś nie zawsze udać się mogło, iżby naczynia tego rodzaju miały pożądaną nieprzepuszczalność, więc celem jej uzyskania nasycano lub oblepiano używane do plecienia powrósta pokostem gliny. Z czasem, kiedy zauważono, iż glina pod działaniem ognia twardnieje, zachowując trwałą formę, z postępowania podobnego wziąć mógł początek wyrób naczyń czysto glinianych, jak tego słusznie się domyśla J. Ranke.<sup>1)</sup>

Ponieważ pierwsze gliniane naczynia wyrabiano bez pomocy krążka garncarskiego, więc musiano sobie w inny sposób poradzić. Lepiono więc albo samymi rękami, gładząc później ścianki kawałkiem wióra zewnątrz i wewnątrz, albo też pleciono z trawy lub sitowia rodzaj misek, podobnych do używanych u nas przy wypiekaniu pieczywa i wylepiano je wewnątrz warstwą wymieszanej gliny, która w ten sposób w plecionce spoczywała jakby w modelu.

(c. d. n.)

B. Janusz.

<sup>1)</sup> Joh. Ranke. Diluvium und Urmensch. Leipzig. nr. 118.





# O zamkach polsko-inflanckich.

1)

Inflanty, jak wiadomo, obfitują w zabytki z czasów dawnego „państwa związkowego“ w tym kraju, którego chwała już dawno przebrzmiała, a który pomimo tego, że w dziejach Polski i Litwy ważną odegrał rolę, dzisiaj mało jest znany.

Co chwila napotykamy tu zwaliska zamczysk, żywo przypominających walki pokolenia silnego, równie niezmordowanego w tworzeniu jak w niszczeniu. Ślady owych walk dają się tu dostrzedz wszędzie.

Wiele z zamków inflanckich, niegdyś tak sławnych, leży dzisiaj w ruinach; inne zgoła znikły z widowni—pamięć ich żyje już tylko w historii krajowej. Co dotąd pozostało z sążnistych murów i olbrzymich bastyonów, jakie te miejsca obronne ongi odznaczały,—rozpada się coraz bardziej w gruzy, a częstokroć przedstawia same już tylko rumowiska. Wkrótce i ci ostatni niemi świadkowie starodawnego rycerstwa bezpowrotnie ulegną zniszczeniu.

Budowy wszakże ówczesne, nawet w stanie ostatecznego rozpadania się, jeszcze zdumiewają widza. Zwaliska to dumne i poważne, ale... posępne i jakby zapatrzone w przeszłość.

Olbrzymie mury, co swe przeznaczenie dawno straciły, żadnej już nie mają wartości dla życia tegoczesnego. Lecz z każdego ich złomu, z każdego ich kąta wieje tradycja poważna, wielka i nauczająca. Kiedy je wznoszono, duch inny na świecie panował. Odtąd przechodziły stulecia, co zgoła odmienny kształt społeczeństwu nadały.

Natura, bezustannie niszcząc i tworząc, zrodziła inne otoczenie, zwaliska zaś zamczysk z koła życia już wyłączone, coraz bardziej stają się obce dla terażniejszości i wkrótceby doczekały ostatecznego zatarcia się w pamięci ludzkiej, gdyby za pomocą pisma i drzeworytnictwa nie przypomniano od czasu do czasu o ich świetnym niegdyś istnieniu.

Wiadomości rzadko napotymane o tej części kraju, należącego niegdyś do „inflanckiego państwa związkowego“, w którym biskupi dzierżyli nie tylko pastorał, ale i berło panujących, a rycerze do coraz większej dochodzili władzy,—w obszerniejszych nawet dziełach, traktujących o tych prowincjach, nie tylko że nie rozwiązują wielu ważnych kwestyi, ale nadto pod względem geograficznym, statystycznym, etnograficznym i historii rozwoju umysłowego, aż nazbyt często powtarzają szereg grubych błędów.

Nie można się dziwić, że w dawnych czasach przy utrudnionych komunikacyach a mniej rozle-

głych stosunkach wyrabiały się niedokładne pojęcia o odległych i niewiele znanych okolicach kresowych dawnej Polski; ale dzisiaj, gdy para nie obrachowuje przestrzeni, gdy niema oddalenia i trudności, a kraj cały otworem stoi dla turystów,—nie zawsze o wiele prawdziwsze są wiadomości, co je od czasu do czasu podróżni podają, a mniej jeszcze wierne i prawdziwe spostrzeżenia, jakie dzisiejsze wędrownie żorawy z Inflant polskich do własnych przynoszą okolic a następnie ogłaszają w pismach najrozmaitszych.

Rozwój niezwykły i prawie nienaturalny codziennej prasy, przeglądów, pism peryodycznych i rozmaitego rodzaju wydawnictw, zamiast służyć do wyswietlenia prawdy, do wyrobienia opinii i prostowania sądu, nie w jednym już wypadku przyczynił się do skrzywienia zdania i rozszerzenia po świecie fałszu.

Dziennikarstwo i całe piśmiennictwo ulotne, będąc często wygodną i łatwą propagandą, niewiele troszczyło się o prawdę dla popierania swoich teoryj, którym sprzyjało, albo umyślnie i systematycznie rozsiewało fałsze, przedstawiało czytelnikom swoim urojone lub do niepoznania przestoczone obrazy i wpoilo w publiczność w wielu nieraz względach zgoła fałszywe i zupełnie nieprawdziwe przekonania, że tylko przytoczę, jako bijący przykład, znanego niemieckiego pisarza, słynącego z pięknego stylu, redaktora-felietonisty, Juliusza Eckardta i jemu podobnych. Pan Eckardt w kilkakrotnie drukowanej pracy swojej p. t. „Polnisch-Livland“, nie tylko depce ze wżgardą niczem nieuzasadnioną całą przeszłość, terażniejszość i przyszłość tego kraiku, jako odpadłego na zawsze od t. zw. kultury niemieckiej, ale nie waha się przedstawić go jako nizinę błotnistą, złożoną wyłącznie z mokrawin i mokradeł, gdzie ani na piędź suchej ziemi.

Tymczasem Inflanty polskie tylko w małej części stanowią niską płaszczynę, przeważnie zaś wznoszą się falisto; gdzieniegdzie przeryniają je wyższe łańcuchy pagórków, złożonych z wapieni i piaskowca dewońskiego. Górna część powiatu dyneburskiego, a mianowicie okolice uroczu położonego Krasławia, tudzież strona rzezycka około rozległego jeziora Rażna, najwyżej są położone i tutaj także najwznioślejsze napotykamy wzgórze. Jedno z nich uwieńczone zwaliskami rycerskiego zamku, dziś jeszcze nosi niemiecką nazwę „góry obłoków“ (Wolkenberg). Od tych zwalisk, jako najstarszych w kraju, zaczynamy nasz przegląd dawnych zamczysk polsko-inflanckich.





I.

Wolkenberg (w dawnych dokumentach polskich z wieku XVI „Wolkimbork“), najwynioślejsza góra w Inflantach polskich, powiecie rzeżyckim, położona jest uroczo u południowych wybrzeży jeziora Rażna. Należy ona do pasma wyżyn, wznoszących się od 260 do 305 stóp nad poziom morza, wyniośłości znacznych, przechodzących przez płaszczynę powiatu licyńskiego, które, łącząc się ze wzgórzami powiatu siebieskiego na Białej Rusi, (od niego w kierunku południowym leżącemi) tworzą dział wodny pomiędzy rzekami i strumykami, uchodzącymi na północ do rzeki Wielkiej (po białorusku „Welikaja reka“) i kotliny Pejpusu, a rzekami płynącemi w kierunku południowym i należącemi do porzeczka Dżwiny, głównej arteryi wodnej kraju.

Górę Wolkenberg wieńczą, jak się rzekło, zwaliska jedyne w swoim rodzaju, najstarszego w Inflantach polskich zamku, niemal siedmiowiekowego! To też legendy, sagi i podania przyrosły do Wolkimborku, jak zwoje bluszczu do starych murów.

Podług jednej z tych licznych legend, przed laty cała ta okolica należała do wdowy po władcy na Wolkimborku. Zmarła ona bez potomstwa męskiego i tylko pozostawiła trzy nadobne córki, pomiędzy które cała ta kraina rozdzielona została. W każdej z trzech posiadłości wznosił się wspaniały zamek obronny, od imienia właścicielki nazwany. Najstarsza Rozalia, otrzymała w dziale „Rositen“, dziś po polsku Rzeżyca; druga, imieniem Lucya — „Lucyn“, a najmłodsza, Marya — „Maryenhaus“. Rozpisuje się o tem obszernie uczony sławy europejskiej, badacz przeszłości krajowej, lingwista i archeolog inflancki, Dr. August Bielenstein w czasopiśmie „Baltische Monatschrift“ (tom XXIX str. 722 i dalsze), a wywody uczone kończy temi słowy: „Jedoch ist als historischer Kern dieser Fabel, das Verhältniss der Wolkenburg zu jenen anderen drei Burgen, als das Metropolis zu den Filialen herauszuschälen“.

Podanie to widocznie późniejszego jest pochodzenia, i nie jest zgoła wytworem ludowym. Dowodzi tego rozległy widnokrąg geograficzny i pierwiastek etymologiczny legendy, utworzonej oczywiście (czy to trafnie, czy też nietrafnie) z nazw miejscowości.

Najbardziej narodową legendę o Wolkimborku ogłosił w r. 1850 książd Józef Macilewicz, w wydanej w języku miejscowych Łotyszów książdce p.

t. „Pawujciszona del zemniku Łatwieszu“, t. j. „Wiadomości dla łotewskich wieśniaków“.

W niej mowa o przebywającej w podziemiach Wolkenbergu zaczarowanej dziewicy, oraz znajdujących się tamże skarbach, strzeżonych przez dwa olbrzymie psy. Baśń tę opowiadają Łotysze w okolicy bardzo wielu zamków inflanckich i kurlandzkich.

Tu zaś umieścić winniśmy z tegoż zbioru wiadomości jeszcze tylko jedną legendę wolkimborską, dotąd mało znaną, lubo zdaniem badaczy Łotwy najbardziej charakterystyczną.

„Mówią ludziska — poucza to miejscowe podanie łotewskie — że raz w nocy trzy w sąsiedztwie jeziora Rażna zamieszkałe czarownice, poleciały na górę wolkenberską, niesione przez potęgę zła. Z nich jedna siedziała na miotle, co niem władała kiejby koniem, druga na łopacie, a trzecia na drewnianym tłuku od stępy do wytłaczania oleju.

Na górze wypisały owe 3 wiedźmy na sążnistej skórze cyrograf niewinną krwią świeżo zamordowanego dziecięcia, nad którym tam pastwiły się okrutnie, a przez złość szatańską przyłożyły ohydłą pieczęć do swego zdrożnego pisma, poczem na wieczne czasy do głębin jeziora je wrzuciły. Skutkiem tego w nocy jezioro miało straszliwie szumieć i wydawać jęki, a owe czarownice tymczasem na górze wolkenberskiej wyprawiały z dyabłami harce“.

Na tem charakterystycznym, lubo niekoniecznie wdzięcznym do opracowania podaniu łotewskim, osnuł Maryan Manteuffel balladę polską w tych słowach:

*„Z szumem wichrów, nawałnicą,  
Grzmotami i błyskawicą  
Zleciały trzy czarownice  
W „nadażniańskie“ okolice;*

*Zapadły za ciemnym lasem  
Z łoskotem, śmiechem, hałasem,  
Głośnym aż pod lasów krańce —  
I poczęły dzikie tańce!*

*Pierwsza z nich, w rozwianej szacie,  
Harcowała na łopacie;  
Druga, ta około kępy,  
Tańczyła z tłukiem od stępy;*

*Trzecia, siedząca na miotle,  
Uwijąta się przy kotle.  
W kotle smołę gotowała,  
Czary, ziola weń wrzucała.*

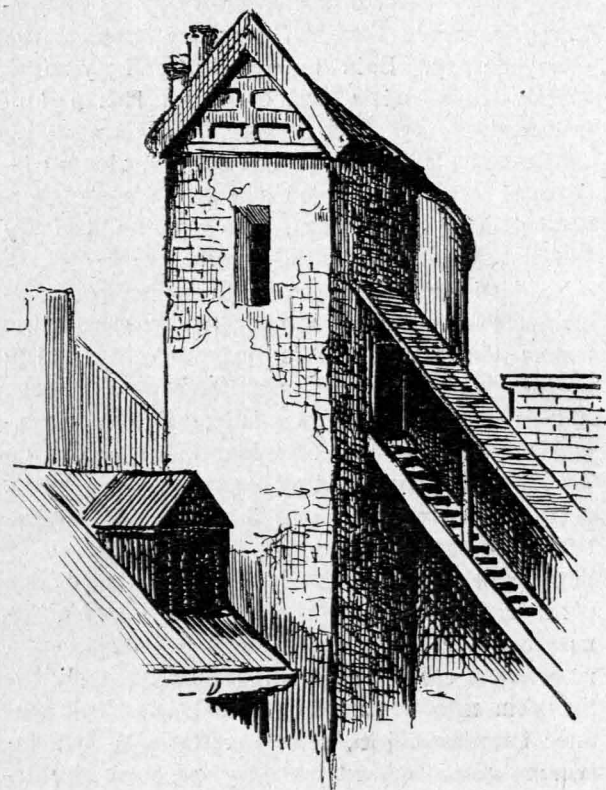
(c. d. n.)

Gustaw Manteuffel.





## „DOROTKA“ W KALISZU.



pg. szkicu J. Raciborskiego.

W licznym szeregu miast, jakie Kazimierz Wielki wznosił lub też murami obronnymi przed najściem wroga zabezpieczył, jedno z pierwszych miejsc zajmuje starożytny Kalisz, niegdyś stolica udzielnego Księstwa a w dobie Kazimierza rozległego województwa.

Miasto już od natury wyposażone w dobre warunki strategiczne, położone było bowiem na okolonej Prosną wyspie, dzięki troskliwości króla Kazimierza, pomiędzy rokiem 1340 a 1350 otoczone zostało potężnym murem z licznymi basztami obronnymi.

W murach znajdowały się, ze zwodzonymi mostami przez Prosnę, cztery bramy: 1. Wrocławska, 2. Piskorzewska, 3. Nad Kanałem i 4. Toruńska.

Furt również było cztery: 1. Słodowcowa, 2. Przy bramie Piskorzewskiej, 3. Zamkowa, 4. Łazienna.

Liczba bast dochodziła kilkunastu, a ponieważ jak w innych miastach naówczas, tak i w Kaliszu,

straż bram miejskich oraz przestrzeni murów pomiędzy nimi, powierzano zwykle miejscowym cechom rzemieślniczym, przeto baszty przybrały nazwy swych obrońców cechowych jako to: Sukienniczej, Garncarskiej, Browarnej i t. p.

Zmiennych losów kolejną warowne te mury po upływie wieków okazały się zbyteczne i zaniedbane, oddane na pastwę czasu, podzieliły smutny los innych zabytków przeszłości. Bramę Wrocławską i przyległą do niej basztę, jako już bardzo zniszczone, rozebrano z polecenia Komisji Dobrego Porządku w roku 1780, resztę zaś fortyfikacji na mocy rozkazu ówczesnego rządu pruskiego zniesiono w roku 1805.

Jednym z nielicznych szczątków dawnych murów miejskich, jakie w Kaliszu do czasów naszych pozostały, jest baszta zwana „Dorotką“, stojąca z częścią dawnego muru w podwórzu kolegiaty N. P. M.

Baszta ta służyła w czasie pokoju za areszt tymczasowy dla włóczęgów, głównie zaś dla kobiet złego życia, schwytych przez nocne straże. Obwód jej na zewnątrz wynosi 20 łokci, wewnątrz zaś 15 łokci; od strony północno-wschodniej tworzy półkole z dwiema zamurowaniami w czasie późniejszym strzelnicami. Kryta jest gontami, na piętrze posiada izdebkę, a w podziemiu sklepioną piwnicę.

Nazwa jej nie pochodzi z żadnego miejscowego zdarzenia, lecz od bohaterki historycznej powieści Kraszewskiego pod tytułem: „Stach z Konar“—Doroty z Tenczyna, którą z powodu gorszego życia i złych obyczajów, rzucających płamę na możny ród, bracia uwięzili, osadzwszy do zgonu w wieży zamkowej. Od tej to Mesaliny Polskiej baszty murów miejskich, w których kobiety złego życia więziono, zwano ogólnie „Dorotkami“.

„Dorotka“ kaliska—cenny, pięciowiekowy zbytek architektoniczny, który jak mówi Korzon, zwrócił nawet niegdyś uwagę Kausch'a, domaga się troskliwej opieki, okolona bowiem ze wszystkich stron banalnymi budowlami, zasłaniającemi ją przed wzrokiem i pamięcią kaliszczan, służy obecnie za skład starzynny służbie kościelnej.

*Józef Raciborski.*







# Sven Hedin w Tybecie.

8)

Dzień 12 listopada zaczął się znowu smutno: trzy, pozornie zupełnie jeszcze zdrowe i mocne konie, które do wczorajszego wieczora dźwigały na sobie ciężar, padły prawie ze zniechęcenia. I to właśnie wtedy, kiedy się zapowiadał, a przynajmniej zbliżał kres trudów. Byłoby to również denerwujące, jak groźne, gdyby nie pociecha, którą przyniósł ze sobą wieczór.

Napotkano mianowicie dwóch najautentyczniejszych, najprawdziwszych Tybetańczyków. Sprawdzenie ich do obozu kosztowało oczywiście немало trudu i trzeba było aż uciec się do niewinnego kłamstwa, że karawana odprowadza wielce znakomitego lamę z Ladaku. Coprawda, kiedy już przyszli i kiedy zamiast lamy, zastali europejczyka, nie zdawali się być tem ani zdziwieni, ani zawiedzeni, tembardziej że stosunki nabrały niebawem bardzo przyjaznego charakteru.

Właśnie niedawno przyjechali tu spędzić zimę. Z zawodu obaj byli łowcami. Starszy — obydwaj mogli mieć 40—50 lat — miał twarz mocno do małpiej podobną, młodszy natomiast wyglądał raczej na członka bandy rozbójniczej i wogóle na człowieka z bogatą przeszłością. Pierwszy miał na czarnych, do strączków podobnych włosach okrągłą, futrzaną czapczynę, drugi baszłyk, zakrywający cały wierzch i tył głowy. Stare, zniszczone futra ogrzewały ich, jak się zdawało, całkiem wystarczająco, na nogach mieli pantofle filcowe niegdyś białe, spodnie przy dwudziestu kilku stopniach mrozu świeciły nieobecnością. Siedzieli na małych, szarych, doskonale do klimatu przystosowanych konikach, które żyły ze sobą w wybornej zgodzie i niebawem zaprzyjaźniły się z całą zwierzęcą połową karawany.

Na plecach wisały im jakieś przedpotopowe strzelby z widłami, za pasem tkwiły noże i szable; amunicja, magazyn niezbędnych narzędzi i sprzętów oraz spiżarnia były w zanadru. Od czasu do czasu wyciągali stamtąd coś ogromnie zeschniętego, zczerniałego i twardego, co okazywało się suszonym mięsem i co po pokrajaniu nożem na paski spożywali z nadzwyczajnym apetytem, dając też z ręki po kawałku koniom, które się bezwzględnie zgłaszały po swoją porcję. Dodać trzeba, że wedle tych północno-tybetańskich poglądów kulinarnych tem jest mięso lepsze i smaczniejsze, im starsze.

Jakkolwiek w namiotach swoich mieli małe stadka oswojonych yaków i kóz, głównym przecie zajęciem było myśliwstwo, które zresztą, sądząc z tego, co opowiadali, niewiele miało wspólnego

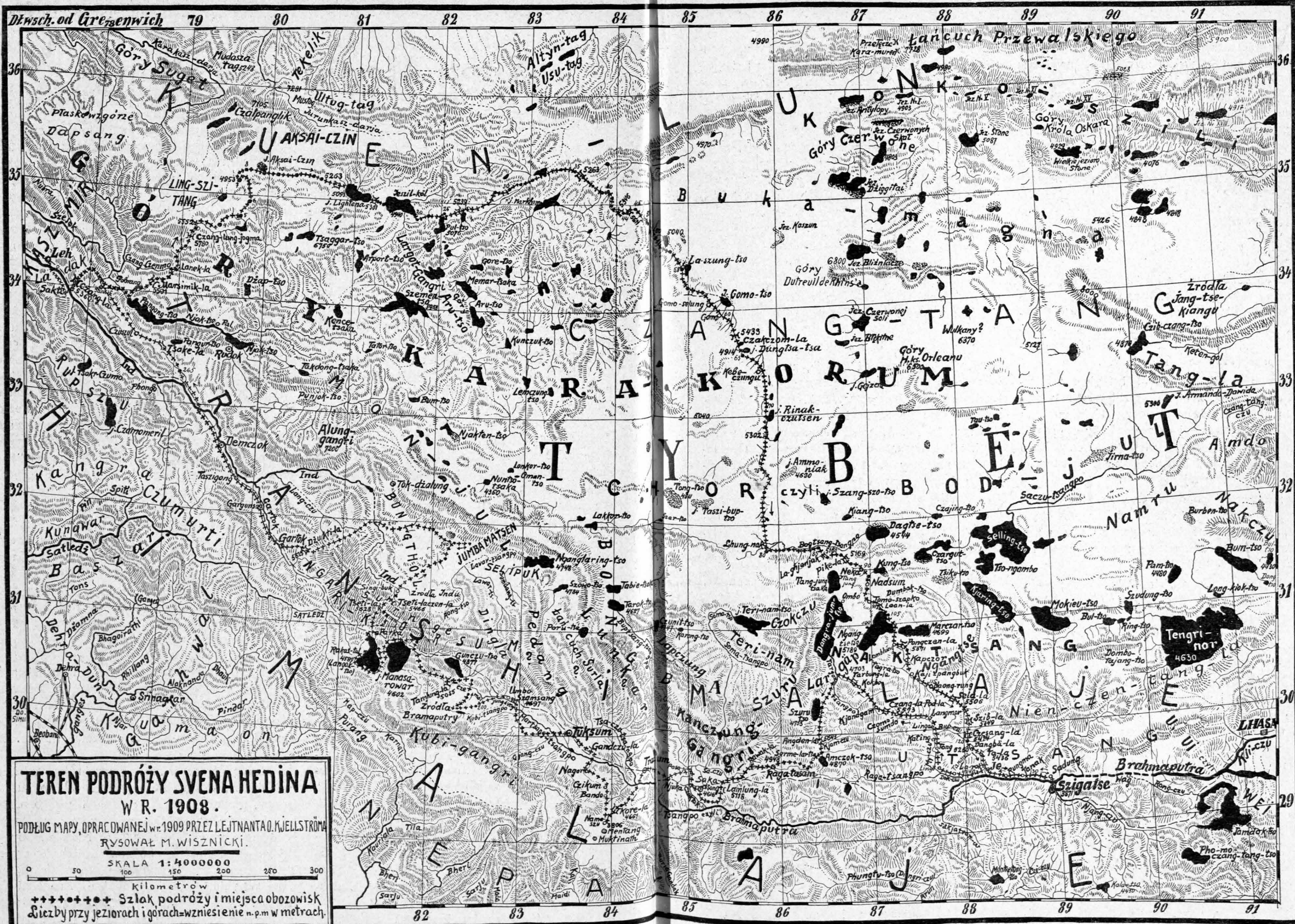
z tem, co się u nas myśliwstwem nazywa. Nie mówiąc bowiem o tem, że nie była to rozrywka, jeno środek do życia, sposoby i metody, jakich te dzieci pustyni używają, mogłyby się wydać najbardziej nawet zapalonemu u nas łowcy nieco przytłuczone. Przedmiotem łowów były najczęściej yaki. Ale yak jest zwierzęciem, nie tylko groźnym i dzikim, ale i czujnym niezmiernie. Żeby go podejść, trzeba znać jego zwyczaje i jego upodobania tak jakby się było samemu yakiem. Trzeba go ze swoją niedaleko bijącą strzelbą podejść pod wiatr, trzeba go wziąć tak dobrze na oko, żeby od pierwszego wystrzału niechybnie położyć, ustawić strzelbę na widełkach, skrzesać na hubkę ognia, zapalić od niej lont i doczekawszy się odpowiedniego momentu — strzelić i trafić. Kiedy indziej trzeba siedzieć dzień cały na mrozie przy źródle, czekając na dzikie osły, które tu pod wieczór przychodzą gasić pragnienie albo budować kunsztowne pułapki na antylopy. Ten sposób łowów opiera się na spostrzeżeniu, że antylopa ma wstręt do przeskakiwania małych wyniosłości gruntu, zwłaszcza jeżeli się ciągną długim a wązkim pasem. Układa się przeto sztuczny mur z kamieni i nagnawszy na niego antylopy, pozwala im się biedz wzdłuż muru, aż do pierwszych nastawionych sideł, czy raczej stryczków, sporządzonych ze sznura.

A tymczasem kobiety zajmują się w domu pilnowaniem stada. Wieczorem zasiadają wszyscy przy ognisku, nad którym wisi najlepszy z przysmaków — cegiełkowa herbata chińska i o ile jest czem ją odpowiednio zaprawić, to jest, o ile jest w namiocie dosyć masła, wszystko idzie jak najlepiej na tym najlepszym ze światów. Po krótszem czy dłuższem życiu, kiedy czangpas zamyka oczy, niesą go do jakiejś niezbyt głębokiej rozpadlinki i pozostawiają na żer wilkom i krukowi. To jest cała treść życia.

Zresztą, o ile można przynajmniej sądzić z tych dwóch, których się napotkało, są to ludzie zgodni, spokojni i niezli. Prędko i gładko ubity został handel, wskutek którego siły karawany zostały wzmocnione o 5 yaków i 6 baranów, łowcy zaś ku niemałemu zadowoleniu swojemu otrzymali 124 rupie i zobowiązali się przeprowadzić karawanę kilka dni drogi na południe. Zastrzegli się jedynie, żeby spotkanie z karawaną i dokonana sprzedaż pozostały tajemnicą, zniknęły zaś istotnie po paru dniach bez śladu, jak tylko ukazały się nowe siedliska ludzkie.

Tym razem była to już większa, z 40 ludzi





**TEREN PODRÓŻY SVENA HEDINA**  
 W R. 1908.  
 PODŁUG MAPY, OPRACOWANEJ W R. 1909 PRZEZ LEJTNANTA O. KJELLSTRÖMA  
 RYSOWAŁ M. WISZNICKI.

SKALA 1:4000000

0 50 100 150 200 250 300  
 kilometrów

+++++ Szlak podróży i miejsca obozowisk  
 Liczby przy jeziorach i górach = wzniesienie n.p.m w metrach.





złożona gromadka, która się tu przed 10 dniami w 6 czarnych, tybetańskim zwyczajem, namiotach osiedliła i która miała 1000 baranów, 60 yaków i 40 koni. Dowódcą czy starszym był 50-letni, poważnie i solidnie wyglądający Lobsang Tsering, o minie nieco podsarganego aktora, który sam jeden miał czapkę i futro podbite czerwoną materią, przemawiał z godnością i rozmysłem, w wolnych chwilach mruczał pod nosem z nieprawdopodobną szybkością modlitwy i bez przerwy używał zatkniętej za pasem chustki do nosa, która najoczywściej nigdy nie była prana.

Podług udzielonych przez niego wyjaśnień, przychodziło tu na zimowe leże z południa rok rocznie do 4000 baranów i kilkaset mułów, które w powrotną drogę obładowywano solą z pobliskich jeziorok dla spieniężenia jej w Lassie i Szigatse. Latem zaś przychodzili z tych miast poszukiwacze złota, których ilość zależna była od rezultatu poszukiwań roku ubiegłego.

Obozem rozłożono się nad brzegiem zamrzniętych moczarów, z których głębi całą noc słychać było jakieś dziwne odgłosy, jakieś mruczenie i mlaskanie, parskanie i charkot, jakby tam pod lodem chodziło całe stado wielbłądów. Psy długo w noc szczekały nad brzegiem, nie mogąc pojąć, co tam tak gada w tej głębi.

A mróz szalał poprostu. Chwilami temperatura spadała do  $-33^{\circ}$ , tak, że nawet siedząc przy ogniu nie można było pisać, bo atrament marzył w mgnieniu oka na piórze a woda w namiocie stawała się po kilku chwilach bryłą lodu.

Jeśli podczas jazdy wiatr miało się z przodu, równało się to męce. Chcąc ochronić oczy od tumanów pyłu i śniegu, trzeba je było ciągle silnie przymrużać, od czego na twarzy powstawała cała sieć zmarszczek, w których się śnieg warstewkami układał. Na wylotach wąwozów wiatr bił z boku z taką siłą, że tylko z najwyższym wysiłkiem można było utrzymać się na siodle. Czasem w ręce lub w nodze traciło się zupełnie władzę i długo trzeba je było potem ogrzewać nad ogniem, żeby straciły sztywność i żeby zeszedł z warg grymas podobny do śmiechu, choć do wesołości tak dyabło mało było powodów. Z oczow ciekły bez przerwy łzy, skóra na końcach palców pękała tak mocno, że z za paznokci szła krew prawie ciągle. Po przyjeździe na nocleg pierwszą było sprawą biedz do rozpalonego z trudem ogniska, którego szarpane wiatrem płomienie buchały, huczac złowrogo, i które na wszystkie strony strzelało snopami iskier.

Potem w nocy, przez długie bezsenne godziny, trzeba było słuchać szalejącego za ścianą namiotu wichru. Zdawało się, że z rozmysłem i regularnie jakaś nadludzka rozmiarów pierś dmu-

cha na obóz, tak szły równo jeden za drugim potężne uderzenia orkanu; ledwo jeden przeleciał, ginąc z poświstem w szeleście suchych traw, już leci drugi z takim tententem i łoskotem, jak gdyby w najwyższym cwale jechały po twardym nierównym bruku armaty. Czasem, kiedy się już znużone powieki pomimo wszystko do snu kleją, nagle wiatr cichnie i to tak nagle, tak niespodziewanie, jak wodospad, któremu zabrakło wody. W uszach huczy cisza i ze zdziwieniem dźwiga się człowiek z ziemi, nasłuchując, co się znów stało.

A bywało i gorzej. Raz z hukiem strzału wy-skoczyły z ziemi drążki, podtrzymujące z jednej strony namiot, i w mgnieniu oka całe wnętrze pełne było piasku i żwiru. Trzeba było istotnie pewnej determinacji, żeby w takiej temperaturze wstać, umyć się i włożyć zlodowaciałe ubranie na siebie.

Całe szczęście, że już się kończyły bezludne pustynie. Cokolwiekbyś zajdzie, nie może być nic gorszego nad tę krwawą wędrówkę przez martwe, kamieniste odludzie, w którym karawana—przynajmniej co się tyczy mułów i koni—topniała jak śnieg. Bez tych 18 yaków, które się udało w ciągu pierwszych kilku dni nabyć, trudno nawet wyobrazić sobie, jak możnaby iść dalej. Bo pomimo, że zabrane z Leh zwierzęta szły teraz prawie luzem, a przynajmniej z bardzo lekkim ciężarem, co parę dni zostawał za karawaną świeży, stygnący trup, a były i takie dni, że odrazu cztery muły padały. Wilki i kruki, ciągnące za obozem, rozzuchwalały się tak bardzo, że nawet na widok człowieka niechętnie i powoli oddalały się od codziennej uczty, a po nocach trzeba było zalecać strażom jaknajwiększą czujność, bo każdej chwili groził napad tej bandy rabusiów.

Więc z tego względu wejść w kraj zaludniony było lepiej. Byleby tylko nie było gorzej z wielu innych; kwestya otwartej czy zamkniętej drogi w głąb Tybetu, stawała się z dnia na dzień coraz bardziej paląca, choć ciągle i niezmiennie nierozstrzygnięta. To jedno było faktem niezbitym, że cały ten kraniec Tybetu wiedział, że z północy ciągnie „peling“ (europejczyk), który wprowadzie ludziom swoim każe rozpowiadać, że jest „kalunem“, t. j. wysokim urzędnikiem z Ladaku, ale w istocie jest tym samym zuchwalcem, który już pięć lat temu usiłował wedrzeć się tędy do kraju i którego ledwie z trudem udało się wówczas odepchnąć. I niewiadomo było, czy to jest rzecz bardziej godna pożałowania czy podziwu, kiedy się widziało, z jaką nadzwyczajną szybkością szerzyła się ta wieść po kraju, w którym przecie można było cały dzień jechać, zanim się znalazło parę nędznych namiotów.

Prawdę powiedziawszy, do tej pory nie było



PIERWSI



KRAJOWCY.

się na co uskarżać i nastrój ludności był raczej trwożliwy niż wrogi. Gdyby nie obawa przed władzą, która jest mało skłonna do żartów, możnaby, i to nawet chętnie, sprzedać tym cudzoziemcom za dobre pieniądze to, czego potrzebują i nawet przeprowadzić ich kawałek drogi na południe — oczywiście za trzy rupie dziennie. Ale najczęściej przeważał strach, i albo wręcz ukrywano się w namiotach, albo ograniczano do najwstrzemięźliwszych stosunków i do skromnych operacji handlowych po cenach znacznie dla ryzyka podwyższonych. Oprócz tego, koło obozu kręciło się ciągle sporo jakichś drapichrustów, którzy się podawali za pielgrzymów, albo za straż miejscową, ale którym chodziło poprostu o wyspiegowanie sił karawany, o doniesienie o tem komu należy, może o zbrojny rabunek, gdyby się to udało.

Po kilku dniach dopiero zgłosił się do obozu jakiś miejscowy naczelnik, który zaczął od propozycji, żeby karawana czekała na pozwolenie gubernatora, co miało trwać dwadzieścia dni. Na kategoryczną jednak zapowiedź Mahmuda Izy, że karawana jutro rano wyrusza w drogę, naczelnik władzy oświadczył, że ostatecznie może jej towarzyszyć, byleby go za dnia nikt w obozie nie widział i byleby nie żądali od niego żadnego kupna.

Było to już niemal tuż przy świętem jeziorze Dangra-jum-tso, jednym z bliższych, a oddawna mianych na oku celów podróży. Zanim przyjdzie od gubernatora odpowiedź, ma się przed sobą 20 dni czasu i możnaby dość głęboko wcisnąć się przez ten czas w głąb kraju, gdyby nie to, że świeżo nabyte yaki nie są oswojone z noszeniem ciężarów i niewielkie już przed tem etapy trzeba było z musu jeszcze bardziej zmniejszać. Wreszcie i z pierwotnej ilości zwierząt zostało je-

dynie 11 koni i 4 muły, a były to raczej ciężko wlokące nogi szkielety, niż muły i konie. Nawet ludzie opadali już z sił. Mahmud Iza, który wzrostem, energią i siłą przynosił innych, cierpiał od kilkunastu dni na straszne bóle głowy i co i raz widać go było, jak kładł się na wznak na ziemi, żeby znaleźć chwilową ulgę. Robert dostał silnej febry, Sonam Tsering jakiejś górskiej choroby, od której całe ciało puchło i nabierało fioletowego koloru, kilku innych męczyły kurcze i skrzynka z apteczką podrózną musiała na każdym popasie stać ciągle otwarta. Tylko najstarszy ze wszystkich Guf-faru, który się na drogę przepasał śmiertelnym całunem, zdrow był jak nigdy i siwą jego, pożółkłą od dymu ognisk brodę, widziało się wszędzie, gdzie było coś do zrobienia.

Ale pomimo wszystko, idzie się naprzód. Czasem spotyka się ludzi, którzy grzecznie i chętnie objaśniają o dalszej drodze, sprzedają mąkę lub yaki i nawet dają przewodnika; czasem znów nie tylko, że nic sprzedać nie chcą, ale hardo i grubiańsko żądają, żeby karawana szła wstecz, a nawet posuwają złośliwość do tego stopnia, że wyprzedzają ją do najbliższego etapu i psują stosunki. Parę razy bat Mahmuda Izy tańczyć musiał po grzbietach, które się wtedy jaknajuprzejmiej zginały i były więcej niż chętne do usług.

Tak zeszło parę tygodni. Nadszedł 24 grudnia —dzień wigilijny. Jak zwykle przyniósł Tsering szaszłyk i kwaśne mleko, jak zwykle huczał na dworze wiatr, na mroźnym i czarnym niebie świecił blado sierp młodego księżyca. Ale nagle przyszła jakaś tęsknota, przyszły dużą, natarczywą gromadą wspomnienia i pomimo wszystko postanowili Hedin i Robert urządzić sobie choinkę. Zebrano 41 kawałków niedopalonych świec, ustawiono je w pięknym i kunsztownym porządku na skrzyni—





i to było już wszystko. Po uchyleniu zasłony, zgromadził się z oznakami podziwu i zadowolenia cały obóz i przy dźwiękach fletu i akompaniamencie zastępującego bęben garnka czy kubeczka, popłynęły rozlewne, zwolna wznoszące się i opadające melodie sanskryckie. Mały Tybetańczyk,

który służył za przewodnika, siedział w kącie skulony, zmartwiały, z rozwartymi szeroko oczyma i jak na drugi dzień Tseringowi w zaufaniu powiedział, nigdy jeszcze czegoś tak cudownego nie widział.

(c. d. n.)

*St. Th.*



## GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

### XI.

Krajoznawstwo, jak wszystkie inne gałęzie wiedzy, ma i mieć powinno dzieła t. zw. klasyczne, dzieła zatem, których treść może być zdrowym pokarmem duchowym dla długiego szeregu pokoleń, dzieła, których twórcy patrzyli pod szerszym kątem widzenia, nie ograniczając się do uwzględnienia potrzeb chwili bieżącej.

Fakt, że krajoznawstwo jest nauką operującą materiałem, którego wartość z biegiem czasu nie tylko zmniejsza się, ale znika zupełnie, nie zmienia bynajmniej postaci rzeczy. Jeżeli bowiem zmienny jest sam materiał i metody badania, to nie jest zmienne natomiast to, co autor, co człowiek wnosi od samego siebie: siła i głębokość umysłu, jasność i dokładność rozumowania, zapał zresztą, z jakim twórca przystępuje do sprawy.

Tak, zapał. Niekoniecznie ten, który się objawia w gładko i głośno brzmiących słowach, albo w potrójnym wykrzykniku na końcu zdania, ale ten, który działa wewnątrz człowieka jak nakręcona do niezwykłego napięcia sprężyna, który go pcha do przełamywania trudności właśnie dlatego, że są wielkie, do schodzenia z szerokiego i wygodnego gościńca myśli, bo jest zbyt szeroki i nazbyt wygodny.

Takich pięknych, klasycznych dzieł ma nawet dość ubogie naogół krajoznawstwo polskie niemają i nie jest słuszne, że większość ich jest znana ledwie z tytułu, że każdy je chwali, wyraża się o nich z uznaniem, uważa za chlubę i zaszczyt piśmiennictwa narodowego, ale mało kto je czyta, mało kto zna choćby z widzenia.

Jednym z takich klasyków literatury krajoznawczej polskiej jest Pol. To się znaczy jednym z tych, o których każdy ma sobie za obowiązek wiedzieć i którego się w świątyni krajoznawstwa stawia na ołtarzu tak wysoko, że nikomu nawet na myśl nie przyjdzie zdjąć go i bliżej się z nim zapoznać. Jeszcze z arcypopularną „Pieśnią o ziemi“ jest pół biedy; tę dajemy bodajby dzie-

ciom (do lat 10) do ręki, żeby się z niej uczyły „wierszy“. Ale o głębszych i większych rozmiarami „Obrazach z życia i natury“ głucho już jest natomiast zupełnie. Tyle tylko, że każdy po kolei z podręczników historii literatury ojczystej, uważa za stosowne stwierdzić w przelocie, że jest to dzieło, którego niedostatecznie głęboki podkład wiedzy kompensuje gorące umiłowanie przedmiotu. Zatem, co na jedno wychodzi, dzieło, w którym dobre chęci starczą za uczynek i które można od biedy nabyć, nawet ładnie i kosztownie oprawić i postawić spokojnie na półce.

Otóż zdaje się, że tego rodzaju wyrok jest wydany nietyle z krzywdą Pola, ile ze szkodą dla samego krajoznawstwa, dla sprawy zapuszczenia przez nie głębszych korzeni u nas, i zwłaszcza dla ustalenia wyobrażeń, czem krajoznawstwo być powinno.

Nie wchodzę w to, jaka jest ściśle naukowa wartość tej pracy. Na to, żeby wydać wyrok bezstronny i dostatecznie uzasadniony, trzeba byłoby być dobrym i gruntownie wykształconym botanikiem, zoologiem, geologiem, etnografem, lingwistą, historykiem, z tylu bowiem conajmniej stron patrzy autor na każde zjawisko i w każdym wypadku idzie na drodze swoich rozumowań jeżeli nie dość głęboko, to dość daleko bądź co bądź. Ale przypuśćmy, że jego wysiłki w tym kierunku są istotnie straconym zachodem, że z dzisiejszego punktu widzenia rozumowania jego i poglądy są za mało ściśle i niewystarczające, że takie były nawet w chwili pisania dzieła. Pozostaje do zbadania kwestya, co wogóle z dzisiejszych poglądów, a zwłaszcza z dzisiejszych syntez, formuł i określeń ogólnych zostanie za 50 czy za 100 lat. Przypuszczam, że najsumienniejsze z dzieł i najgruntowniejsi z autorów nie mogą sobie w tym kierunku rościć pretensji do nieśmiertelności i że niemiłosierny pod tym względem czas znacznie wyrówna różnice. Poza jednym czy kilkoma szczegółami, jaki się komuś uda zbadać i ustalić, reszta wskutek doskonalszych



metod badania, wobec nowych zupełnie punktów widzenia ulegnie zaprzeczeniu, zmodyfikowaniu, przejdzie do archiwum. Pozostanie jako zdobywcza osobista coś mniej czy więcej nikłego i to, co jest najmniej zmienne, dusza, którą autor włożył w swą pracę.

Otóż ta dusza, jaką Pol w swoich pracach ujawnia, jest tak głęboka, tak świeża i mocna, sposób i metoda, jakie on do swych badań stosuje są tak doskonałe, że pomijając wartość wyników, na nim właśnie więcej, niż na wielu z jego współzawodników można będzie przez długie lata uczyć się poznawania swojego kraju.

Na szczęście czy na nieszczęście swoje i czytelnika Pol jest przede wszystkim artystą. To się znaczy, ma jako taki zmysły daleko więcej niż przeciętny śmiertelnik czułe i czujne. Widzi i słyszy dużo, szybko i uważnie, nie opuszcza rzeczy całkiem nawet nikłych pozornie, nawet może drugo czy trzeciorzędnych w istocie, ale zmysłowo, zewnętrznie silnie uderzających na razie i mocno się potem utrwalających w pamięci.

Jeżeli jest nad Bałtykiem, notuje odrazu kolor wody, zależność jego od pory dnia, stosunek między barwą wody i kolorem nieba, między tem ostatniem i szerokością geograficzną. Robi trafne i bystre spostrzeżenie, że na Bałtyk patrzymy, stojąc na brzegu zawsze ze słońcem od tyłu lub z boku, wskutek czego gra światła na fali traci dużo na wyrazistości i ożywieniu.

Na stepie ukraińskim wie, jak szumi trawa rano, a jak po zachodzie słońca; gdzieindziej notuje, jakie są odrębne zapachy każdej z ziem polskich. Na jeziorach mazurskich widzi nie tylko tańczący słup słonecznego światła i srebrną drózkę księżycy, ale słyszy i rozróżnia wszystkie głosy jeziornej natury: krzyk czajek i rybitw morskich, wrzawę dzikich kaczek, pisk kulonów, hukanie bąków i kruczenie żorawi. Wszędzie i zawsze chodzi, nie jak zatopiony w abstrakcyach teoretyk, dla którego natura sprowadza się do cyfry i suchego szkieletu myśli, ale jak człowiek, dla którego wszystkie te tony i barwy są pojedynczymi głosami wielkiego hymnu, do którego trzeba własną duszę dostroić, jeżeli go się chce dokładnie zrozumieć.

Polowi przychodzi to tem łatwiej, że o pomoc idzie do tych, którzy jeszcze nie wszystkie nitki łączności z żywą naturą zerwali — do ludu. Zapuszcza się z nim w długie, kilkotygodniowe wycieczki po mrocznych ostępach lasów pokuckich, pływa po bezbrzeżnie rozlanych wodach Polesia, osiada w chatach węglarzy litewskich, na Rugii z rybakami jeździ na nocne połowy, z góralami Beskidu chodzi na Węgry. Nie narzuca im swoich wyobrażeń, nie przykłada do ich naiwności

swojej oschłej i sztywnej miary, jeno uczy się od nich i przy nich, traktuje ich jak jedno ze zjawisk natury, którą bada, stara się zrozumieć naturę przez ludzi i ludzi na tle natury.

Dzięki temu zakres jego spostrzeżeń osobistych jest rozszerzony przez ich odwieczne doświadczenia, instykty i intuicje i dzięki temu dla chłodnego, metodycznego rozumowania naukowego zdobyty jest w ten sposób materiał pomocniczy niepośledniego nieraz znaczenia.

Oprócz tego przy tak ciągłym obcowaniu z ludem Pol nie tylko umie pewne zjawiska natury głębiej i świeżej odczuwać, ale je także umie trafniej i lepiej po polsku nazwać. Przez to język jego nabiera dosadności, przez to aż pachnie poprostu lasem i łąką, jeziorem i stepem. Nasze słownictwo zawodowe, o które dziś uporczywie, choć z niewielkim skutkiem, jak dotąd walczymy, było kiedyś bogate i bujne, jak życie, które je wydało. Oczywiście miało za przedmiot nie rzemiosło lub handel, które w głąb życia narodowego nie wniknęły, tylko to, co było jego treścią codzienną: myśliwstwo, rybołówstwo, rolnictwo. Proszę sobie przypomnieć owe niezrozumiałe już dziś korabie, nawy, skutury, promeny, komiegi, galary, statki, dubasy, owe włoki, wędkki, węcierze, potrestnice, słabnice, wiersze, zabrodnie, niewody i żaki, które cytuje Szajnocha, choć ich już nawet nie potrafiłby pewnie wytłomaczyć. Proszę przeczytać, co podaje na kilku kartkach swojej prześlicznej książki o Kazimierzu Wodzickim jako myśliwym, Aleksander Rembowski, ile on tam notuje staropolskich wyrażań myśliwskich, których dziś już nie tylko niedzielnym, ale i najdzielniejszym nasz łowca zaniechał. Taki jest oczywiście nieuchronny porządek rzeczy. Z chwilą, kiedy pewna część życia ogólnego podupada, zamiera, kiedy ze stopnia czynnika pierwszorzędnej doniosłości przechodzi do rzędu zabawki, zwiędnąć i opaść jak liść suchy musi to także, co jest jego wyrazem, jego mową pozornie bezużyteczną. Pozornie, bo niestety skutek idzie tu zwykle dalej, niż przyczyna, a za odrzuceniem nazw rzeczy, które zniknęły z powierzchni życia, idzie aż nadto często zupełne pomieszanie nazw, wyrażających pojęcia do dziś dnia istniejące i różne od siebie. Wszak las, gaj, bór a puszcza, to są pojęcia, których nie należałoby mieszać ze sobą, tembardziej że o tem każdy słownik języka poucza — a jednak w życiu i języku potocznym różnice te zacierają się coraz bardziej i traci na tem nie tylko sprawność i bogactwo języka, ale i znajomość natury ojczyściej.

Otóż Pol umie jeszcze rzeczy po imieniu nazywać. I to nie tylko w pełnych finezyi rozróżnieniach sosny od sośniny, sośniaka lub chojaka, ale także w tem wszystkim, co się tyczy życia natury





i przemian, jakie w niej dostrzegamy. On torfowiska leśnego nie nazwie inaczej, jeno pustacią; sosna, kiedy w pień strzeli jest u niego gonna, a po płytszych wodach leżą nie pnie obalonych drzew, tylko prądowiny. Ostrów i kępa, to nie wyspy, jak się dzisiaj niejednemu wydaje, jeno brzeg każdy, zarosły: na wysokim, suchym ostrowiu lasem wyższym, a na niskiej, podmokłej kępie wikliną.

I tem więcej uznać musimy te „Obrazy“ za niewyczerpaną językową kopalnię, im chętniej zgodzimy się na zdanie Pola, że „w języku i zapamiętywaniu narodu naszego na naturę leży klucz do poznania natury miejscowej“.

Ale Pol jest nie tylko artystą, który poszedł pić do krynicy ludowej, ale również i przede wszystkim szczerym, dużej miary i zdrowym poetą.

Wskutek tego każde najprostsze zjawisko nabiera pod jego piórem takiej plastyki i wyrazistości, żyje takim mocnym, swoistym życiem, że zdumiony i uradowany czytelnik znajduje się niebawem oko w oko w obliczu natury, której głębi może nie mógłby sam tak łatwo odczuć. Przytem żadnej pozy, żadnej afektacji, żadnego brania rzeczy przez papier i malowania jej atramentem. Raczej może nam się zdawać, że ktoś, co już oddawna i głęboko spoufalili się z tym światem dla nas tak blizkim i tak obcym zarazem, bierze nas z prostotą za rękę i prowadzi do miejsc, o których zapomnieliśmy albo do których nie umieliśmy drogi odnaleźć. Kiedy nam mówi o lesie, czujemy beczną zapach smółki i zdaje nam się, że pod stopami ugina się i pręży bujny kobierzec mchu. Kiedy nam opowiada o burzach—a robi to tak często i tak chętnie — zdaje nam się

nieomal, że nam dech w piersiach zapierają gorące, rozszalałe podmuchy wichru, że przymykają się oślepienie przeraźliwym światłem błyskawicy. A że to jest przewodnik, który zna wszystkie zakątki Polski, który z dzikiego Pokucia idzie na daleką, pełną cichych grobowisk Roję, z sennych puszczy litewskich na szeroki, spalony step Ukrainy, który znał, schodził i opisał Tatry, kiedy się u nas jeszcze prócz Staszica i Goszczyńskiego o nich nikomu nie śniło—więc czytanie tej książki jest nie tylko królewską zabawą, ale poznawaniem ziemi ojczystej w całej jej różnorodności, w całym przepychu.

Tę książkę—oddawna już wyczerpaną—należałoby jaknajrychlej przedrukować. Jeżeli pod względem naukowym jest przestarzała, można ją zaopatrzyć przypisami, które omyłki sprostują. To nie jest racya, dla którejby tyle szczerego jak złoto uczucia, tyle głębokich, trafnych spostrzeżeń, tyle włożonego w nią życia iść miało na marne. Do nowego wydania należałoby dodać koniecznie świetne ilustracje Kossaka, z jakimi „Obrazy“ były pierwotnie drukowane w Tygodniku Ilustrowanym, a które ominięte zostały w wydaniu książkowym, tembardziej, że mało jest zapewne w historii sztuki ilustracji, któreby tak doskonale, tak organicznie z treścią były związane, jak tu właśnie Kossak z Polem.

Przedrukujmy tę książkę, jako pierwszy tom klasyków krajoznawstwa polskiego. Nikt lepiej od niej nie potrafi wyprowadzić nas na szerokie przestworza pól i w ożywczy chłód lasów, gdzie zmęczona, zwyrodniała niemal dusza mieszkańca współczesnych miast będzie mogła rozprostować się i spojrzeć—ku słońcu.

*Boruta.*



## Nowe książki.

*Przewodnik po Wilnie opracowany na podstawie najnowszych źródeł przez d-ra Władysława Zahorskiego (z licznymi ilustracjami i planem miasta). Nakład i własność drukarni wydawniczej Józefa Zawadzkiego w Wilnie, str. 295. Cena 1 rb. 20 kop. w oprawie.*

Stara stolica Litwy pozyskała nareszcie przewodnik, zastosowany do wymagań nowoczesnych i—powiedzmy to odrazu—opracowany wprost znakomicie. Wypełniony zatem został w naszej literaturze krajoznawczej brak wielki i dotkliwy. Znany szeroko, zarówno z gruntowności opracowania, jak i smutnych swych zatargów z cenzurą, dawniejszy „Przewodnik“ Kirkora napisany

był jak wiadomo w czasach, zanim jeszcze rozpętała się nad Wilnem po 63 r. ostatnia, najsrozsza burza niszczycielska i rusyfikatorska, i w wydaniach nowszych niepodobna już było uwzględnić w nim należycie zasług od tego czasu zmian. Trzeba było obraz Wilna malować teraz nanowo. Zadania tego podjął się dr. Wł. Zahorski, znany badacz dziejów Wilna, gorący miłośnik jego tradycji i zabytków. Wydany obecnie jego „Przewodnik“ odznacza się przedewszystkiem bardzo przejrzystym i szczęśliwym układem. Na samym wstępie zamieszczone zostały na kilkunastu stronicach wskazówki praktyczne dla przyjezdnych oraz dział informacyjno-adresowy. Dalej idzie zwięzła, ale doskonale uwzględniająca okresy rozwoju i upadku miasta historia Wilna, potem zaś—opis ulic, placów i domów wileńskich. Opis ten stanowi oczywiście właściwe jądro „Przewodnika“. Kolejno, ulica za ulicą, dom za do-



mem prowadzi autor za rękę swego czytelnika po starym grodzie jagiellońskim, opowiadając jasno i treściwie dzieje każdego ciekawszego gmachu, każdej godniejszej uwagi pamiątki lub—osobliwości. Oto związana z pamięcią Giedymina góra Zamkowa, oto miejsce, gdzie stał pałac umiłowanej przez Zygmunta Augusta Barbary Radziwiłłówny, dalej znów odwach, który z garstką żołnierza zajął w 94 r. Jakób Jasiński, dom, w którym pisał „Grażynę” Mickiewicz, uniwersytet, gdzie kształciła się młodzież filarecka, a wreszcie Pohulanka, gdzie zginął na szubienicy Szymon Konarski, i plac na Łukiszkach, miejsce trwania Zygmunta Sierakowskiego i Konstantego Kalinowskiego. Tuż obok zaś tych miejsc pamiątkowych, nieraz w tych samych domach, trwa dziś znowu wyteżona praca kulturalna, powstają nowe instytucje społeczne, budzi się myśl, snująca dalej wątek, zerwany w burzach dziejowych. W żadnym z miast polskich tradycje i wysiłki poprzednich pokoleń nie przeniknęły tak głęboko do serc i mózgów szerokiego ogółu. I dziś, w najniewdzięczniejszych warunkach, przy wszystkich warsztatach pracy społecznej stoją znowu ludzie, pełniący swój obowiązek z cichą, ale nieugiętą zawziętością.

To pulsowanie życia współczesnego znalazło również na kartach „Przewodnika” uwydatnienie zupełnie dostateczne. Ale oczywiście główna uwaga zwrócona tu została na to, co najbardziej interesować może przejezdnych turystów, a więc na zabytki, mające historyczną lub artystyczną wartość.

Osobne, wyczerpujące opisy poświęcone zatem zostały wszystkim kościołom wileńskim, świątyniom innych wyznań oraz cmentarzom. Dział to w książce duży, bogaty i ciekawy. W końcu wreszcie „Przewodnik” zawiera wiadomość o ważniejszych miejscowościach podmiejskich. Wiadomość to, naszym zdaniem, nieco zbyt może zwięzła i skromna. Okolice Wilna odznaczają się tak niezwykłą malowniczością i zawierają w sobie na każdym kroku tyle pierwszorzędnych piękności, że należało im się bezwarunkowo w tego rodzaju książce nieco więcej miejsca i uwagi. Rozszerzenie tego działu w następnym wydaniu „Przewodnika” byłoby tembardziej pożądane, że zapewne osobnego opisu okolic Wilna nie prędko jeszcze się doczekamy.

Dołączony do książki spory plan Wilna niezawodnie oddać może przyjezdnym pewne usługi. Zdaje się jednak, że byłyby bardziej pożądane dwa mniejsze plany: jeden dokładny—śródmieścia, a drugi—poświęcony okolicom.

Ilustracje wypadły niestety naogół nienajlepiej. Za to podnieść z uznaniem należy doskonały, wyraźny i czysty druk, bardzo staranną korektę, wytworny format i ładną okładkę.

Pomimo zaznaczonych, bardzo drobnych zresztą naogół usterek, „Przewodnik” d-ra Zahorskiego, pisany czystym i pięknym językiem, a opracowany z rzadką u nas gruntownością i wyborną znajomością przedmiotu, należy za jeden z najlepszych opisów miast polskich. Stary gród Jagiellonów i Mickiewiczów stał się teraz dopiero naprawdę dostępnym dla turystów. E. M.

□□□□□□□□□□

## Z piśmiennictwa.

† Ze względu na tegoroczną wystawę w Odessie, która niezawodnie ściągnie do tego miasta niemało publiczności polskiej, p. W. Jakowicki opracował i wydał *Przewodnik po Odessie i opis drogi z Warszawy do Odessy*. Książeczka ta dzieli się na dwie odrębne części. Pierwsza z nich zawiera opis drogi z Warszawy do Odessy, z uwzględnieniem wszystkich ważniejszych miejscowości, leżących zarówno na głównej linii, jak i w jej pobliżu, a więc np. Łucka, Żytomierz, Kamieńca, Mohylowa, Kiszyniowa. Część druga zawiera dokładny opis Odessy i słynnych jej limanów. Specjalną uwagę zwrócił autor na instytucje i pamiątki polskie w tem mieście. Uzupełniają książeczkę skrowidz treści i plan miasta. Przynieść ona może niewątpliwie pożytek wszystkim podróżnym polskim w Odessie.

□□□□□□□□□□

## Kronika Krajoznawcza.

† Henryk Sienkiewicz ogłosił w *Gazecie Warszawskiej* list następujący: „Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości” postanowiło rozciągnąć opiekę nad ruinami zamku chełcińskiego i uchronić je od zupełnego zniszczenia, jakiem grozi im czas i niestateczność ludzka. Postanowienie to przyjmie niewątpliwie z radością cała Ziemia Kielecka, chodź jednakże o to, by radość ta zmieniła się w obywatelski czyn. Zachowanie zabytku, z którym wiąże się tyle znakomitych wspomnień historycznych i tyle wielkich a drogiej imion, począwszy od Łokietka, skończywszy na Batorym—jest przedewszystkiem obowiązkiem mieszkańców Ziemi Kieleckiej. Te ruiny—to przecie jedna z celniejszych jej ozdób—i jedno ze świadectw historycznej roli, jaką ta część Małopolski grała w dziejach wspólnej wielkiej ojczyzny. Towarzystwu trzeba pomóc. Posiada ono środki nader skromne, więc gdy chodzi o zbytek kielecki, któż, jak nie Kielczanie powinien pospieszyć z zasilkiem? Nie chodzi o znaczne fundusze. Kilkanaście setek rubli wystarczy na ochronę cennej pamiątki, a ponieważ Towarzystwo ma w ustawie prawo odwoływania się do ogółu, sprawa pomocy nie może trafić na żadne nieprzewidziane przeszkody. Mam też nadzieję, że głos mój znajdzie echo zarówno w sercach mieszkańców miasta Kielc jak i okolicy—posiadając zaś prawo i zaszczyt zaliczać się od kilku lat do obywateli tej Ziemi, przesyłam na ochronę zamku chełcińskiego rubli 10, jako zapoczątkowanie w tej ważnej dla nas sprawie”.

Odezwe powyższą uzupełniamy informacją, iż wszelkie ofiary na ten cel przesyłać należy do Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości, — Warszawa, ul. Nowy-Swiat 41.

† Czytamy w *Gazecie Częstochowskiej*: „Strzałków, pod Radomskiem, gdzie umarł jeden z wielkich artystów malarzy polskich, Henryk Siemiradzki, ma być sprzedany włościanom na parcele.





Pałacyk, w którym umarł ten, co jest chlubą narodu, ulegnie rozbiórce. Powinno zwrócić na to uwagę Tow. opieki nad zabytkami przeszłości, należy bowiem zachować przed zagładą dom pamiątkowy i przylegający doń piękny park. Oddział piotrkowski Tow. krajoznawczego urządzi wycieczkę do Strzałkowa, by poczynić zdjęcia fotograficzne tej drogiej dla społeczeństwa polskiego miejscowości“.



+ W d. 29 maja w lokalu lecznicy ocznej hr. Przeździeckich w Wilnie odbyło się czwarte doroczne walne zebranie członków wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk pod przewodnictwem p. Ksawerego Zubowicza. Obecnych na posiedzeniu było 33 członków. Nasamprzód uczczono przez powstanie pamięć zmarłych członków Towarzystwa, w których liczbie figurowała, jako członek-założyciel i członek honorowy, Eliza Orzeszkowa; ciepłe wspomnienie poświęcił Jej vice-prezes, dr. Zahorski; zmarł także bibliofil członek-protector p. Jan Szański, który cenny swój księgozbiór przekazał Towarzystwu. Następnie odczytano i zatwierdzono sprawozdanie z działalności Towarzystwa za rok 1909. Członek zarządu p. Hilary Łęski ofiarował Towarzystwu plac przy ul. Mostowej oraz około 9,000 rb. na zapoczątkowanie budowy gmachu dla lokalu Towarzystwa.

Na członków honorowych zostały obrane ze względu na swoje zasługi naukowe i przychylność okazaną Towarzystwu osoby następujące: znany archeolog p. Erazm Majewski, profesor uniwersytetu berlińskiego p. Aleksander Brückner, profesor uniwersytetu lwowskiego, botanik p. Maryan Raciborski, prezes Cesarskiej komisji archeologicznej w Petersburgu, znany badacz starożytności i epigrafista p. Łatyszew, autor cenionej gramatyki litewskiej i redaktor II tomu słownika języka litewskiego p. Jan Jabłoński i badacz starożytności słowiańskich p. Lubor Niderle. Na członków korespondentów zostali wybrani pp. Ludwik Janowski, Kazimierz Szafnagel i Tadeusz Dowgird, kustosz muzeum miejskiego w Kownie.

Wybory zarządu Towarzystwa nie przyniosły zmiany; do komisji rewizyjnej wybrano pp.: Michała Cie-

chanowskiego, gen. Waleryana Dobużyńskiego i d-ra Zygmunta Zawadzkiego. Na zakończenie p. Wandalin Szukiewicz przedłożył zgromadzeniu pracę swoją o kurhanach na Litwie. Członków Towarzystwa Przyj. Nauk do końca r. 1909 liczyło 318, co świadczy, że instytucja ta stale się rozwija.



+ Sekcja turystyczna Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie otworzyła na przeciąg sezonu letniego t. j. od 1-go czerwca do 1-go października 1910 r. *Dom turystyczny w Zakopanem* przy ul. Łukaszówki L. 4, który oddaje do użytku zarówno dla zbiorowych wycieczek, jako też dla pojedynczych osób na następujących warunkach:

Dla członków nocleg jednorazowy	60 hal.
„ „ „ miesięcznie	15 kor.
Dla nieczłonków nocleg jednorazowy	80 hal.
„ „ „ miesięcznie	19 kor.

Zgłoszenia: w Krakowie w Collegium Novum II. Sala w godzinach dyżurowych. W Zakopanem w Domu turystycznym codziennie u administratora.

## Od Redakcyi.

Redaktor K. Kulwiec po ukończeniu wycieczki litewsko-białowieskiej, organizowanej przez Polsk. Tow. Krajoznawcze, udaje się na studia krajoznawcze na Polesie i na Litwę; nasz kierownik zaś artystyczny p. M. Wisznicki udał się w tych dniach na wczasy letnie w lubelskie. Sprawy redakcyjne „Ziemi“ przez lipiec i sierpień prowadzić będzie sekretarz Redakcyi p. Stanisław Thugutt.

## NADESŁANE.

SZKŁO, PORCELANĘ, FAJANSY i t. p.

□ poleca: PIERZCHALSKI, Szpitalna 5. □

## OD ADMINISTRACYI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał III-ci.

**TREŚĆ:** *B. Janusz* — „Pochodzenie i zastosowanie ornamentu geometrycznego w ceramice przedhistorycznej“; *Gustaw Manteuffel* — „O zamkach polsko-inflanckich“; *Józef Raciborski* — „Dorotka“ w Kaliszu“ (z 1 ilustr.); *St. Th.* — „Sven Hedin w Tybecie“ — c. d. (z 3 ilustr.); *Boruta* „Gawędy krajoznawcze“ — XI. Nowe książki. Z piśmiennictwa. Kronika Krajoznawcza. Od Redakcyi. Od Administracyi. Z naszych krajobrazów — 5. „Grusza polna“ (ilustracja).

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki — Składał i łamał Stefan Turobojski — Odbijał na maszynie Aleksander Grzegołowski (junior) — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.